

W połowie listopada 2009 miałem okazję uczestniczyć w wyjeździe nurkowym do jeszcze nie do końca odkrytego rejonu Egiptu jakim jest Marsa Alam na południu. Warto tam pojechać, bo nie ma tłoku turystów, krajobrazy są dziewicze, a rafy niezniszczone. Niewielu nurków pod wodą, dużo dzikich zwierząt jak rekiny, delfiny, żółwie, mureny, skrzydlice, rogatnice, admirały, płaszczki, które w innych regionach Egiptu zaczynają należeć do rzadkości, a niedługo będą nie do spotkania pod wodą, a jedynie na zdjęciach.

Po raz pierwszy wybrałem się do Egiptu na nurkowanie wraz z ekipą nurków, którzy nurkowali w tym kraju niejednokrotnie, niektórzy nawet ok. 20 razy. Zaufałem ich wyborowi miejsca i nie żałuję. Zabrałem ze sobą aparat Canon A360 z obudową podwodną i udało mi się zrobić mnóstwo fotek przepięknej rafy i zamieszkujących jej zwierząt. Jednego dnia nie miałem ze sobą aparatu bo robiłem kurs Deep Divera, a to właśnie wtedy widzieliśmy dwukrotnie rekina (!!!) i rodzinę kilkunastu delfinów przepływających koło naszej łodzi w parku zw. Dolphin House. Ale fotokronika z pozostałych dni wyprawy i tak jest bardzo bogata.

Zatrzymaliśmy się w hotelu Holiday Beach, okazały i obszerny teren i budynki, miła i żartobliwa obsługa, schludne pokoje. Brakowało nam tylko owoców morza w menu, choć mieliśmy All Inclusive, to tylko dzień przed wyjazdem podano mało zjadliwe kraby. Generalnie jedzenie było niezłe, choć oczywiście trzeba było unikać soków, które rozcieńczane są wodą (niezdrową dla naszych żołądków) oraz drinków z lodem (oczywiście z surowej wody), a także sałatek owocowych na noc (m.in. z ciężkostrawnych jabłek i gruszek). Ci co przestrzegali tych paru prostych zasad nie mieli kłopotów żołądkowych zw. zemstą Faraona.

Pierwszego dnia mieliśmy wolne na aklimatyzację, więc wylegiwaliśmy się na plaży, a nieliczni nurkowali z ABC (maska i rurka). Ja wziąłem oczywiście ze sobą aparat i ku mojemu zdziwieniu na głębokości kolan w morzu przy hotelowej plaży roiło się od ryb: chetoników, papugoryb, igliczni, zeberek i wielu innych. Oczywiście trzeba było uważać na fale, bo na głębszej wodzie była już rafa, o którą można było się pokaleczyć oraz unikać jeżowców, bo ich kolce mogą wnikać tak głęboko, że będzie potrzebna pomoc chirurgiczna (pamiętałem o nich po wizycie w Chorwacji, gdzie ok. miesiąca po powrocie miałem jeżowcową pamiątkę w palcu).

Drugiego dnia wyruszyliśmy ze sprzętem nurkowym do naszej bazy, którą współprowadził Polak, niejaki Junior, podobno najlepszy blender w Egipcie. Przeniósł się tutaj niedawno aa Dahabu, bo miał dość tłumu turystów, a w Marsa Alam jest wciąż tyle rzeczy do odkrycia. Choć widząc powstające wokół błyskawicznie nowe hotele i resorty odkąd otwarto lotnisko, już myśli, że za kilka lat region zacznie przypominać pewnie Hurghadę i dlatego myśli o kolejnej przeprowadzce, tym razem na Bali. Generalnie wyluzowany koleś i dobrze wyposażona

baza. Nie ma problemu z Nitroxem, nawet dla nurków technicznych, bo w naszej grupie byli zapaleńcy, którzy nurkowali z 3 butlami i gorącym Nitroxem, przygotowanych specjalnie przez Juniora.

Ja jako nurek rekreacyjny, miałem wszystko co potrzeba i mnóstwo zapału do nurkowania, dlatego po zapoznaniu się z ofertą wycieczek przez rezydenta, dość kuszących np. do Luksoru czy nad tamę asuańską, zdecydowałem się jednak nie tracić ani dnia i wykorzystać cały wyjazd na nurkowania. W sumie przez 5 dni zrobiłem 10 nurów.

Polecam zwłaszcza dwa w parku zw. Dolphin House, gdzie dopływa się łodzią ok. 1 h, ale warto bo widoki są niesamowite, rafa cudna, mnóstwo zwierząt podwodnych i oczywiście delfiny.

Drugim miejscem koniecznie do odwiedzenia jest Marsa Abudabab, gdzie kilkanaście żółwi żeruje niedaleko od brzegu i nawet nurkowie bez akwalungu mogą popływać razem z żółwiami. My mogliśmy dodatkowo obserwować żerowanie żółwi na dnie, gdzie niezważając na nas spokojnie skubały sobie trawkę. Na większości z nich koczowały ryby czyszciciele, co wyglądało dość ciekawie i osobliwie.

Marsa Alam, póki co jest regionem dla turystów lubiących spokój, pustynię i piękno rafy koralowej, doskonałe dla nurków. Brakuje tu promenad, straganów, nachalnych handlarzy i całego tego zgiełku rodem z Hurghady czy nawet Sharm el Sheiku. Ale trzeba się śpieszyć bo na pustyni wokół Marsa Alam i wzdłuż wybrzeża na przestrzeni ok. 60-80 km trwa jeden wielki plac budowy. Za kilka lat ten rejon będzie wyglądał zupełnie inaczej. Zarobią Egipcjanie, ale niestety straci rafa i przyroda. Pierwsze oznaki już widać, bo do niedawna największą atrakcją Marsa Abudabab, były nie żółwie ale olbrzymie krowy morskie, które się stąd wyprowadziły, a jedną z ostatnich podobno przejechała motorówka, a inną zadusili włoscy turyści. Nie wiem czy to prawda czy plotki, ale nam nie udało się zobaczyć ani jednej sztuki, a Junior twierdził, że widział jedną ok. 2 miesiące temu, ale w mało znanym, nowym miejscu. Na jak długo tam zostanie niewiadomo.

Należy oczywiście pamiętać o tym, że z Egiptu nie wolno wywozić żadnych muszli czy koralów, bo grzywna na lotnisko to 200 euro. Na pustyni wokół naszego hotelu, która przechodzi w plażę było mnóstwo dużych okazów muszli i kawałków koralowców wyrzuconych przez morze. Wokół hotelu wykorzystywano je jak u nas żwirek do obsypywania pustych placów, na których nie udało się wypielęgnować zielonej trawy, co jest ambicją co bogatszych hotelarzy. Trzeba im przyznać, że z konsekwencją kilka razy dziennie podlewają otaczające go hotel rośliny i trawę, a w nocy nawet z dodatkiem naturalnych nawozów, bo zapach gnojówki lekko unosił się w nocnym powietrzu.

Jeśli chodzi o temperaturę powietrza to było ok. 25-27 stopni, spory wiatr, ale spokojnie można było leżeć i opalać się plaży. Woda

natomiast w niektórych miejscach miała 33 stopnie przy powierzchni.

W hotelu oprócz Polaków można było spotkać przede wszystkim Włochów, Rosjan, Czechów, kilka Ukrainek, Czeszek i paru Niemców. Przed hotelem o narodowościach gości mówią wywieszane flagi narodowe na masztach, co jest dość miłe.

Zakupy robiliśmy w sklepikach na stacjach benzynowych lub przydrożnych na przeciw większych hoteli, z których podobno najbardziej godny uwagi jest Blue Reef. Jednak sklepikarz naprzeciwko niego ceny berał jakby z kosmosu, raz zapłaciłem za butelkę pepsi i butelkę Ice Tea 5 Euro. A innego dnia chiał za to samo 2 Euro. Z kolei sklepikarz na stacji paliwowej też brał ceny z głowy ale u niego za to samo zapłaciłbys 1 lub maksymalnie 2 euro. Natomiast w sklepikach hotelowych w ogóle nie mieli pojęcia o różnicy kursowej euro i dolara i tak np. cena za t-shirta z pamiątkowym nadrukiem wynosiła 7 \$ lub 7 Euro. Dla nas wiadomo bardziej opłacalne były zakupy w dolarach, więc raczej tę walutę należy zabrać ze sobą.

Wszystkie napiwki łatwiej też dawać w dolarach, nie za bardzo chcą monety euro, bo nie chcą im potem wymieniać w kantorach. Trzeba też uważać na dzieci, które często są wykorzystywane do ciężkich prac, jak np. dźwiganie bagażu czy sprzętu nurkowego, ważącego spokojnie ponad 20 kg. Po prostu można się na to niezgodzić by one targały nasze bagaże, gdy silniejsi starsi stoją obok, a też chcieliby zarobić dodatkowo.

Sądzę, że gdybym nie spędzał większości czasu na nurkowaniach to można by się zanudzić w takim hotelu i w takim miejscu, ale przecież nie pojechałem tam na chodzenie po kramach czy knajpkach tylko ponurkować i dlatego jest miejsce godne polecenia przede wszystkim dla nurków pasjonatów.